

Rodzina, czyli transcendencja w majtkach - Fabrice Hadjadj

Starożytna sentencja stawia przed wyborem: aut puer, aut liber...
Płodzić dzieci albo pisać książki – trzeba się zdecydować. Mnie się to nie udało. Nie jestem zresztą za bardzo pro choice. Co jest bardzo nieostrożne, przyznaję, i w kiepskim guście. Ludzie pytają mnie: „Jak pan to robi, że publikuje pan tyle książek, mając tak liczną rodzinę?”. Cóż, źle robię. Pozwalam dzieciom, by uniemożliwiały powstanie Wielkiego Dzieła, i pozwalam tekstom, które nadal produkuję, by ograniczały mój czas dla dzieci. Ale może jednak robię dobrze.



Starożytna sentencja stawia przed wyborem: *aut puer, aut liber...* Płodzić dzieci albo pisać książki – trzeba się zdecydować. Mnie się to nie udało. Nie jestem zresztą za bardzo *pro choice*. Co jest bardzo nieostrożne, przyznaję, i w kiepskim guście. Ludzie pytają mnie: „Jak pan to robi, że publikuje pan tyle książek, mając tak liczną rodzinę?”. Cóż, źle robię. Pozwalam dzieciom, by uniemożliwiały powstanie Wielkiego Dzieła, i pozwalam tekstom, które nadal produkuję, by ograniczały mój czas dla dzieci. Ale może jednak robię dobrze.

Fabrice Hadjadj

Rodzina, czyli transcendencja w majtkach

wydawca: W Drodze

2016

Przedmowa

Rodzina, czyli transcendencja w majtkach nie narodziłaby się bez tych, którzy przeszkadzali mi w jej napisaniu. Jeśli moja wolność nie zaznałaby ograniczeń z ich strony, książka ta miałaby piękniejszy styl, byłaby bardziej spójna i naukowa, a jej tematyka bez wątpienia dotyczyłaby czegoś zupełnie innego. Napisał-bym raczej *Czym jest pustka?*, *Ucieczkę odnalezionego czasu* albo też *121. dzień Sodomy...* W tę stronę płynęły zwykle moje myśli. Pewne osoby zablokowały zupełnie ich bieg. Co prawda, nie tyle jak przeszkoda, co jak tama. By podnieść poziom wód.

Starożytna sentencja stawia przed wyborem: *aut puer, aut liber...* Płodzić dzieci albo pisać książki – trzeba się zdecydować. Mnie się to nie udało. Nie jestem zresztą za bardzo *pro choice*. Co jest bardzo nieostrożne, przyznaję, i w kiepskim guście. Ludzie pytają mnie: „Jak pan to robi, że publikuje pan tyle książek, mając tak liczną rodzinę?”. Cóż, źle robię. Pozwalam dzieciom, by uniemożliwiały powstanie Wielkiego Dzieła, i pozwalam tekstom, które nadal produkuję, by ograniczały mój czas dla dzieci. Ale może jednak robię dobrze. Bo, jak lubię wierzyć, co jedne i drugie tracą na doskonałości, to zyskują na życiowej prawdzie – prawdzie kulawej, fakt, niespecjalnie pociągającej, ale kuśtykającej dzielnie swoją drogą.

Tak oto dwuletni Joseph wkracza nieoczekiwanie do mojego gabinetu ze swoim czarującym uśmiechem i oświadcza mi: „Pijupkowe!” (co należy rozumieć jako bezdyskusyjny nakaz, by nalać mu teraz-zaraz-natychmiast szklankę soku jabłkowego), a ja nie wiem, czy jestem bardziej wściekły, czy zachwycony. Albo czteroletni Jacob pyta mnie: „Czy mogę napisać coś na twoim komputerze?” i nie czekając na pozwolenie (niewątpliwie dlatego, że by go nie otrzymał), wystukuje

ylkhvoxicvw samym środku bieżącego zdania. Po czym sześciolatnia Elisabeth chce, żebym narysował jej księżniczkę, ośmioletnia Marthe prosi, bym obejrzał przedstawienie z muzyką, które właśnie przygotowała wspólnie z młodszymi braćmi, a Judith, lat dziewięć i trzy czwarte, wykrzykuje mi do ucha: „O! Napisałeś moje imię w swojej książce!”. Wreszcie jedenastoletnia Esther błaga mnie, bym przeczytał nowe rozdziały opowieści, którą sama pisze – coś między *Harrym Potterem*, *Władcą Pierścieni* i *Mikołajkiem* (bardzo fajną).

Ale to nie wszystko, bo jest jeszcze oczywiście moja żona (pominę tu milczeniem jej rodzinę). Jeśli niektóre młode kobiety i wiele innych, co prawda o wiele mniej młodych, spijają słowa z mych ust, gdy wygłaszam jakąś konferencję, to jeśli chodzi o Siffreine, obdarza mnie ona dość dużą uwagą po to, by wyjść daleko poza czytane jej dopiero co ukończone strony i przerywać mi komentarzami, na które nie wpadłby żaden krytyk: „A tak właściwie, pomyślałeś o tym, by wysłać jakieś życzenia do Bénédicte z okazji ślubu?”, jak również: „Tak *à propos* tego co napisałeś o »życiu w świetle«, to jeszcze nie zmieniłeś żarówki w pralni”, albo jeszcze: „No nie, naprawdę, tak być nie może, twoje włosy są za długie, koniecznie musisz je obciąć...”. To z pewnością zmienia spojrzenie na arcydzieło. Ustawia je też na właściwym miejscu. I nie wspomnę tu, ciągnąc wątek zakłóceń, o kłótniach, które trzeba zażegnawać, o awanturach, podczas których człowiek wychodzi z siebie i staje obok, o punktualności, z jaką „geniusz” jest wyrywany z objęć muz, bo wołają go do stołu, o niezliczonych razach, gdy wydzieram się na dzieci, żeby przestały krzyczeć, o powszednim chlebie brutalnych upokorzeń i nieoczekiwanych radości... Wściekłość i zachwyty raz jeszcze.

Nikt nie jest prorokiem wśród krewnych. I na tym polega łaska – tak łatwo jest być traktowanym jak mesjasz przez ludzi, którzy znają nas z widzenia. Pokrewieństwo przypomina nam o najwyższym proroctwie, proroctwie o rzeczywistości, o przyszłości, która przekracza nasze wyobrażenia, o płodności, która wymyka się naszym zamysłom... I to właśnie dlatego nie ma nic bardziej proroczego niż małżeństwo ze wszystkimi jego niedolami jako znak Przymierza miłosiernego Boga i Jego ludu o sercu podwójnym i twardym karku – jeśli wierzyć Biblii, z jej upodobaniem do genealogii wyliczających imiona własne, by wskazać, że są rzeczy ważniejsze od nazw, i jeśli wierzyć samym prorokom – Izajaszowi, Ezechielowi, Ozeaszowi...

To, co przeszkadzało w pracy nad tą książką, stanowi jej istotę. Rodzina, o której tu mówimy, nie ma w sobie nic z ideału. Nie jest zaciszną przystanią. A jeśli nie zmienia się do końca w pole bitwy, to tylko dlatego, że ma w sobie coś z uprawnej roli, gdzie miecz, choć przekuty w lemiesz, nadal rozdziera ziemię. Nie jest też zamknięta w czterech ścianach. A jeśli jej sens nie ulatuje na cztery wiatry, to dzieje się tak dlatego, że stanowi ona fundament zarówno polityki, jak i religii, a zatem stale znajduje się w krzyżowym ogniu dyskusji.

A oto i inni winowajcy przeszkadzający mi pisać na okrągło na mojej bezludnej wyspie, choć w różnym stopniu i z różnych powodów – wśród nich wymienię Kościół katolicki z Synodem o rodzinie, ruchy „LGBT”, „ABCD de l'Égalité”, „*In vitro* dla każdego”, „NBIC dla co bogatszych”, „CHWDP i wzajemnie” ze wspólną im wszystkim seksualną urawniówką. To z ich powodu musiałem w roku Pańskim 2014 zabierać głos w debacie publicznej i poczułem potrzebę, by zebrać niniejsze

teksty w niewielki tomik (dorzuciłem do nich echa polemiki z Michele Serresem, która toczyła się na łamach czasopisma „Études” w 2003 roku, co nada moim rozważaniom pewien wymiar teologiczny).

Nie mógłbym skończyć tej przedmowy, nie oddając należnej czci moim rodzicom, który mieli odwagę spłodzić mnie w starym stylu, na czerwonej kanapie w Tunisie, w dzielnicy La Fayette, po powrocie mojego ojca wyposzczonego podczas długich tygodni spędzonych na pierwszych terenowych badaniach socjologicznych w Menzel Abderrahmane, rybackiej wiosce na północnym brzegu jeziora Bizerta. Pragnęli siebie nawzajem, a nie bezpo-średnio mnie. Przede wszystkim chcieli „robić miłość”, jak się to niezgrabnie mówi, a nie „zrobić sobie dziecko”. I oto ja, mały Żydek, zawsze poza programem, ale nie do końca poza pogromem, człowieczek, który rosnąc, zupełnie odbiegł od ich wyobrażeń (ale nie od ich serc). Nie dlatego, że się buntowałem, ale dlatego, że każdy wymyka się samemu sobie, zakładając, że się urodził, a nie został wyprodukowany. Sam mój ojciec, krok po kroku, przeszedł drogę od maoisty do talmudysty, a matka od dyrektorki ds. kadr do *jidisze mame*. Korzenie okazały się silniejsze niż plany (chodzi tu zresztą o korzenie w niebie), powołanie mocniejsze niż polityczne czy zawodowe wybory.

To zatem oczywiste: tezę niniejszej książki stanowi twierdzenie o wyższości rodziny, „instytucji z definicji anarchicznej”, od gabinetu wyspecjalizowanego doradcy. Będę w niej konsekwentnie dowodził, że małżeńskie łoże ma większą głębię i moc twórczą (również więcej dramatyizmu) niż laboratorium doktora Frankensteina, a stół rodzinny to wytwór techniki potężniejszy niż tablet. Jak zauważył Anatole

France, stół i łóżko to dwa meble, którym należy się najwyższy szacunek. Dziś wyzwanie polega na tym, by uznać ich znaczenie, nieporównywalnie donioślejsze niż próbówki czy ekranu.

Niektórzy twierdzą, że przemiany dokonujące się na naszych oczach dorównują rewolucji neolitycznej. Wydaje mi się, że są one jeszcze radykalniejsze. Zlekceważyliśmy bowiem objawienie mówiące, że *Logos* to również imię Syna, i pogrążyliśmy się w bagnie logiki, w którym rozum sprowadza się do rachunku, a technologia wypiera genealogię. Ludzkie pokolenia mają zsynchronizować się od tego momentu z nowymi generacjami produktów technicznych. W imię tej synchronizacji młodszy zawsze jest z pozoru dojrzały od starego, a całe dziedzictwo wydaje się przeżytkiem. Nie dziedziczy się przecież komputera po dziadkach. A nastolatek lepiej poradzi sobie z obsługą najnowszych gadżetów niż zahartowany w bojach stary wiarus. Następne pokolenie już niczego nie może nauczyć się od poprzedniego. I odtąd człowiek, który uważa, że wypada poprawnie mówić w swoim ojczystym języku, jest z punktu uznawany za straszliwego reakcjonistę; a człowiek, który popiera pełne współzycie z kobietą bez zahamowań i zabezpieczeń, jest najobrzydliwszym z obrzydliwych seksistą. Samą naturę uznaje się za faszystowską, bo krzew różany rodzi róże, a nie sztandary. Przeciw ohydzie genealogii wielu wiele robi, pisząc spójne teksty (nawet bardzo spójne – jak plan pięcioletni albo blok betonu), ale tych tekstów się nie rodzi.

Z ogromną więc radością przedstawiam czytelnikowi tę książkę o ultraseksistowskiej, ultrareakcyjnej i co najmniej tak fascynującej jak róża, świnia rzeczna i gramatyka francuska treści – książkę urodzoną, choć – wszyscy postępowcy się tu zgodzą – niedorobioną.

Saint-Michel de Kergonan, 6 sierpnia 2014 roku,

Święto Przemienienia Pańskiego

i rocznica wybuchu bomby atomowej w Hiroszimie

Przeczytaj fragment rozdziału *Czym jest rodzina?* i zobacz spis treści